ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 1-go Kwietnia 1897. Nr. 13.

,,Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczce (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa ,,Katolika" w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Na widok znaku na niebie, padł Kandydus na kolana, a wyciągając ręce zawołał ze łzami:

— Bądź pozdrowiony, wzniosły znaku mojego Pana, jedyna nasza nadziejo! Skoro ty nam świecić będziesz, któż zdoła się nam oprzeć?

Podniósłszy się potem z klęczek, odezwał się do Konstantyna, wpatrzonego w znak niebieski:

— Tak, cesarzu mój i panie, w tym znaku zwyciężysz. Nie ludzkie usta ci to mówią, lecz samo niebo obiecuje. Patrz, przed tym znakiem drżą duchy ciemności; i twoi nieprzyjaciele upadną przed nim na ziemię.

— Rozpoznaję, — odpowiedział na to Konstanty, ciągle na znak niebieski patrząc, — że znak składa się z połączonych w jedno głosek greckich chi i rho; lecz daremnie się pytam, coby to znaczyć mogło.

Kandydus zabierał się do tego, ażeby podać chrześciańskie wytłómaczenie znaku, gdy uprzedził go Gordyan.

— Boski władzco, — rzekł głośnym głosem, aby go wszyscy słyszeli, — podług reguł proroczych wyższa wyrocznia unieważnia niższą, znak na niebie znosi proroctwo z wnętrzności zwierząt. Zaprawdę, jesteś wybranym ulubieńcem bogów, którzy chytrość duchów niszczą a ich niepomyślne znaki za pomocą tego zjawiska niebieskiego w pomyślne zamieniają. Albowiem znak na niebie tak tłómaczyć należy: Wielki Mitras, którego ty z wojskiem jako niezwyciężonego a wszystko pokonywającego boga słońca czcisz, ma być twoim znakiem i przewodnikiem. Owe greckie litery w połączeniu z napisem znaczą: Jeżeli wybierzesz Mitrasa, niezwyciężonego boga słońca, na przewodnika, odniesiesz wielkie zwycięztwo i wielkie szczęście cię spotka.

Gordyan powiedziawszy to, rzucił złośliwe spojrzenie na Kandydusa a tryumfujący uśmiech osiadł mu na twarzy, gdy otaczający cesarza wodzowie, ucieszeni ze zmiany znaków, zaczęli wołać:

— Omen accipimus, przyjmujemy pomyślny znak, Mitras niech nas wiedzie do zwycięztwa.

Okrzyki te powtórzyli żołnierze. W całym obozie grzmiało: Omen accipimus! Do Rzymu! Do Rzymu!

Lecz cesarz Konstantyn milczał i jeszcze zdania stanowczego nie wypowiedział. Nie zadowoliło go to, jak Gordyan znaki wytłómaczył. Miał wzrok ciągle zwrócony na niebo i owe połączone głoski, jaśniejące nad słońcem. Nie do słońca, lecz do znaku nad słoń-

cem odnosiły się słowa: W tym znaku zwyciężysz!

Także i król Erok, który słowa Gordyana zaledwie pół na pół zrozumiał, ponieważ po grecku jeszcze gorzej mówił, niż po łacinie, patrzał zamyślony na niebieskie znaki i życzył sobie, aby mógł zapytać się kapłanów swojego narodu o wytłómaczenie tajemniczego zjawiska.

Kandydus, patrzący bacznie na cesarza, odgadł jego myśli; odważnie przeto wystąpił naprzód, wyciągnął tesserę czyli znak, po którym chrześcianie się poznawali i pokazał cesarzowi. Na tesserze wyryte były te same głoski, jakie widniały na niebie. Potem odezwał się w te słowa:

— Cesarzu mój i panie, nam znaki te nie są obce: są to połączone dwie pierwsze głoski greckiego słowa Chrystus. My chrześcianie piszemy je na grobowcach naszych zmarłych, aby zaznaczyć, że wierząc w Chrystusa, syna Boskiego, zwyciężyli śmierć i przeszli do wiecznego spokoju. W naszych świętych księgach nazywają Chrystusa słońcem sprawiedliwości; gdy uczniom swoim na górze Tabor się ukazał w niebieskiem przemienieniu, wtedy oblicze jego promieniało jak słońce; tron jego jest podług słów świętych spiewaków, jak słońce przed obliczem Boga. Jakież znaczenie miałoby mieć greckie słowo »chaire«, bądź pozdrowiony, w połączeniu z napisem na niebie o czem Gordyan mówił? To słowo wykrzykują papugi na powitanie wchodzących w progi domu.

Objaśnienie centuryona nie bardzo się podobało wodzom; niejeden z nich wstrząsnął głową, wszyscy zaś patrzeli na cesarza, ciekawi, co on powie.

— Te głoski mają być znakiem twego Boga? — zapytał Konstantyn, marszcząc czoło.

Potem znów zamilkł i myślał.

A więc nie Mitras, ani nie Jupiter, ani Mars, których dotąd wojsko rzymskie na pomoc wzywało, którym ołtarze wznosiło, którym wszelkie sławne czyny przodków i swoje własne przypisywało, nie: bóg chrześcian, przeciw któremu Dyoklecyan najkrwawsze wydawał edykta, zaś cesarze Zachodu jeszcze dotąd ogniem i mieczem walczyli, w którego większa część wojska nie wierzyła, — w nim ma położyć Konstantyn nadzieję zwycięztwa?

Cesarz znów podniósł głowę ku niebu. Wyjaśnienie znaku podane przez Gordyana nie zadowoliło go; słów Kandydusa wzdrygał się uznać; czyż nie można jeszcze inaczej i lepiej znaku wytłómaczyć? Lecz im dłużej na niebo spoglądał, tem więcej mówił mu głos wewnętrzny: Wierz słowom centuryona i ufaj!

— W jakiż sposób, mój znakomity centuryonie — zapytał nakoniec, — mają te znaki przyprowadzić nas do zwycięztwa?

— Cesarzu i panie, — odrzekł Kandydus, — jeżeli dotąd orły były znakami, z którymi legiony szły do boju, natenczas rozkaż, aby przed wojskiem niesiono sztandar z imieniem Chrystusa. Tak poleca napis na niebie i w tym znaku odniesiesz zwycięztwo. Jeżeli zaś chcesz mi wyświadczyć łaskę największą, natenczas racz powierzyć ten sztandar moim rękom. W każdej bitwie poniosę go przed legionami i w najzaciętszy bój pójdę. Bądź przekonany, że orły Maksencyusza zamienią się wobec znaku Chrystusa w płochliwe kury, na które jastrząb uderza.

Oko szlachetnego młodzieńca błyszczało ogniem świętego zapału. Ze słów jego biła taka siła przekonania, taka pewność zwycięztwa, że nie mogło to pozostać bez wrażenia na cesarzu. Lecz Konstantynowi jeszcze daleko było do chrześciaństwa, aczkolwiek matka jego Helena była chrześcianką. Zdawało mu się, że ze względu na legiony, czczące Mitrasa, bożka słońca, nie może sztandaru Chrystusowego kazać nieść przed wojskiem.

Stary król Erok odezwał się tymczasem:

— Cesarzu, cobądź te znaki znaczą, rada centuryona, aby je umieścić na sztandarach legionów, jest bardzo do-

skonała. W tem zjawisku mamy niebieski znak, zapowiadający nam zwycięztwo. To nas zadowalnia. Każdy niech sobie tłómaczy znaki, jak chce.

Konstantyn trzymał się tej zasady, że w sprawach religijnych pozostawiał każdemu zupełną wolność osobistego przekonania; już z tej przyczyny musiała mu się podobać rada króla Eroka. Nadto bystry jego rozum poznał, że całkiem nowy sztandar bojowy, który ustawicznie żołnierzom cudowne zjawisko będzie przypominał, w każdej bitwie na nowo zapał i męztwo ich zapalać musi. Raz tedy jeszcze spojrzawszy na niebieskie znaki i postanowiwszy zabrać się do trudnego dzieła, wystąpił cesarz na brzeg pagórka, na którym namiot jego stał, aby żołnierzom postanowienie swoje obwieścić.

W pełnem świetle słońca, nad którem ciągle jeszcze tajemnicze znaki promieniały, otoczony wodzami, stał młody cesarz w podniosłym nastroju ducha z powodu tego co postanowił z błyszczącem okiem, zarumienionem obliczem, pełen wojennej siły, szlachetności i męzkości.

Dźwięcznie brzmiącym głosem w te do żołnierzy odezwał się słowa:

— Żołnierze! Wiecie, jak waszego cesarza znieważono, wiecie także, pod jakiem nieznośnem jarzmem krwawej tyranii ślęczy stolica państwa. Gdy ja, wasz najwyższy wódz, wzdrygałem się przed przelaniem szlachetnej krwi moich wojowników, samo bóstwo przez to niebieskie zjawisko objawiło swoją wolę, zarazem orężom naszym zwycięztwo zapowiadając. Jestem posłuszny tej wskazówce z góry i wołam: Do Włoch! Dalej do Rzymu! Nowy sztandar, zamiast orłów, to niebieskie zjawisko poniosą przed wami; w tym znaku zwyciężymy i zanim miesiąc upłynie, staniemy u bram Rzymu. Jutro z brzaskiem dnia wyruszymy!

Jak szum fal morskich podniósł się gwar głosów ludzkich na te słowa. Cały obóz zagrzmiał ogromnym okrzykiem radości; uderzono tarczami o tarcze, orężami o ręże; wszyscy byli pełni zapału i ochoty wojennej, jakiej Konstantyn u wojska swego nigdy jeszcze nie widział. Przed godziną jeszcze z trwogą myślał o tem, czy wyprawa się powiedzie; teraz natomiast nie wątpił o zwycięztwie; nawet choćby miał stanąć naprzeciwko dwa razy większej potęgi od swojej, nie tracił nadziei zwycięztwa.

Gdy słońce zaszło, zniknęło też zwolna niebieskie zjawisko. Żołnierze udali się do namiotów, ażeby się gotować do marszu.

Cesarz tymczasem polecił sprowadzić z pobliskiego Syonu zręcznych i doświadczonych złotników, oddał im wielką ilość złota i najkosztowniejszych pereł i drogich kamieni i sam podał dokładnie, jak mają zrobić nowy sztandar wojskowy. Na końcu długiego drzewca miały być pierwsze dwie litery imienia Chrystusa ze szczerego złota, w około nich zaś wieniec ze złotych liści laurowych, ozdobiony podwójnym rzędem pereł. Pod tym znakiem wisiała na poprzecznym małym drzewcu chorągiew haftowana złotem i perłami. Poniżej chorągwi zaś umieszczono popiersie cesarza, jako boga słońca, na głowie z koroną z promieni słonecznych. Tak tedy w tym sztandarze chrześcianie mogli widzieć znaki chrześciańskie, poganie zaś przypomnienie boga słońca. Nowy ten sztandar, zwany labarum, stanowił odtąd główny znak wojska Konstantynowego.

Chorążym, noszącym ten sztandar, zamianował cesarz, centuryona Kandydusa, ulegając jego prośbie; nie mógł powierzyć go godniejszym rękom.

Podczas gdy nocą żołnierze, leżąc przy ogniskach, wśród śpiewów i okrzyków o przyszłych zwycięztwach rozprawiali, Kandydus zgromadził w swoim namiocie gromadkę żołnierzy chrześciańskich, aby wspólnie z nimi dziękować Bogu za cudowny znak. Potem rozmawiali z sobą pełni nadziei, że chwila tryumfu dla krzyża się zbliża, że cesarz Konstantyn zostanie chrześcianinem, że Rzym i całe państwo rzymskie zostanie zdobyte świętym orężem ewangelii.

Kandydus miał jeszcze jeden powód radości: serce mu biło żywiej z uciechy, że zobaczy znowu niedługo swoję ukochaną matkę Irenę. Ciągle do siebie pisywali a syn tak czcił matkę, że listy jej na klęczkach czytał, bo słowa jej za słowa świętej uznawał. Co z żołdu swego mógł oszczędzić, posyłał matce. Gdy został centuryonem, cieszył się z tego najwięcej z tej przyczyny, ponieważ mógł odtąd więcej matce posyłać. Senator Paulinus opowiedział mu, że matka jest zdrowa. Jakąż pobożną dumą napełniło się serce jego, gdy tenże, aczkolwiek poganin, dość pochwalnych słów znaleść nie mógł, aby określić męztwo, z jakiem Irena zniosła śmierć małżonka i swoich dzieci i poświęcenie, z jakiem odtąd oddała się w służbę biednych i chorych.

Kandydus, zaledwie z lat chłopięcych wyszedłszy, opuścił dom rodzicielski i oddał się zawodowi żołnierskiemu. Ostatni raz widział matkę przed siedmiu laty. Przed oczami duszy ciągle mu stała jakby święta. Po Bogu jej też jedynie zawdzięczał, że wśród pokus wszelakich zdołał zachować wiarę i niewinność. Jak radośnie wyobrażał sobie młodzieniec w duchu zobaczenie się z matką, gdy jako chorąży Chrystusa stanie przed nią i upadnie jej do nóg. Wspomnienie o śmierci ojca i sióstr radość jego duszy zaciemniało; gdy wróci do domu i matkę powita, wtedy uda się do grobu ukochanych swoich i oznajmi im, że Ten zwyciężył, dla którego mężnie śmierć męczeńską ponieśli.

Tylko jeden nie dzielił ogólnej radości, a tym był Gordyan. Leżąc samotny na wezgłowiach, z głową na ręku opartą, pięść zaciśniętą na stole trzymając, patrzał bezmyślnie przed siebie, nie zważając na wino i smaczne owoce na stole.

— Ośmieszył mnie ten młodzik gołowąsy, — szeptał, zaciskając zęby, — ten pies chrześciański. Nasze wyjaśnienie znaków cesarz odrzucił na stronę z pogardą a zamiast nieśmiertelnych bogów Rzymu, trzykroć przeklęte imię Nazareńczyka na sztandarze legionów umieści i nieść każe. Nie, imperatorze, przenigdy? nie zwyciężysz pod tym znakiem. Gordyan ujmie się za swoich bogów i na skrwawionych pobojowiskach, wśród trupów twoich poległych żołnierzy, będę obchodził uroczyście tryumf naszych nieśmiertelnych bóstw nad Galilejczykiem.

W godzinę później wyszedł z namiotu Gordyana niewolnik w podróżnych szatach i ostrożnie z obozu się wykradłszy i jak kot zręcznie przez palisady, któremi otoczony był obóz, przeskoczywszy udał się w daleką drogę. W szatach jego zaszyty był list do Rufusa, naczelnego wodza legionów Maksencyusza, znajdujących się w kwaterach Górnych Włoch.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZEGAREK I JEGO WYTRWAŁOŚĆ.

Każda większa maszyna, spełniająca te lub inne usługi, jak np. lokomotywa, bywa poddawaną częstej rewizyi, dokonywanej co najmniej raz na trzy miesiące i nie rzadko się zdarza, że podczas rewizyi takiej, okazują się tu i ówdzie ślady zużycia, które należy usunąć, jeżeli mechanizm ma w dalszym ciągu funkcyonować należycie. O tem poddawaniu maszyn wszelkiego rodzaju częstej rewizyi wiadomo każdemu i nikogo nie dziwi ta pieczołowitość, najzupełniej usprawiedliwiona. Przeważnie każda maszyna wielka nie pozostaje w ruchu dniami całymi, pracuje przez pewną liczbę godzin, a niekiedy przez czas dłuższy wypoczywa. — Oprócz tego, wszystkie jej części składowe odpowiednio do czynności, jaką mają wykonywać, są zbudowane silnie i mogą wielki

opór wytrzymać, maszyna taka niemal co godzinę bywa oliwą nasmarowana, a pomimo to wszystko podlega wielkiemu zużyciu.

Pomyślmy teraz na chwilę o zegarku, zwłaszcza kieszonkowym. Rozmiary jego części są bardzo nie wielkie. Cały tz. »werk« nie może być ani duży ani gruby, ażeby mógł wygodnie zmieścić się w kieszonce od kamizelki. Dlatego też rozmiary części składowych zegarka nie są obliczone według tego, jaką czynność mają wykonywać, ale muszą być zastósowane do niewielkich przestrzeni miejsca, jakie mają do rozporządzenia. Ostatnie kółka w zegarku poruszają się z nadzwyczajną szybkością. Kółko np. nad włosem, wykonywa pięć wahań w ciągu sekundy, a więc 300 w ciągu jednej minuty. Wszystkie części zegarka nieprzerwanie w dzień i nocy znajdują się w ruchu, maleńkie osie nieraz przez całe miesiące, ba nawet i lata nie bywają nasmarowane oliwą, a jednak osie te są bardzo delikatne, średnica ich wynosi niekiedy zaledwie dziesiątą część milimetra. Nieznaczna kropelka oliwy, którą zegarmistrz napuszcza na czopy po ostatniem oczyszczeniu, wysycha powoli, a zegarek idzie wciąż dalej i dalej, gdyż żaden kontroler prywatny ani urzędowy nie czuwa nad tem, żeby ta maleńka maszyna została w swoim czasie naoliwioną, a czopy wytarte. Po pewnym czasie tarcie osi o czop staje się coraz trudniejsze, aż nareszcie przewyższa już siłę sprężyny i zegarek staje. Teraz niesiemy go do zegarmistrza. Gdy zegarek, co się często zdarza, szedł przez lat kilka regularnie, w takim razie właściciel jego wspomina o tem z pewnego rodzaju dumą i powiada: »trzeba go będzie tylko trochę oczyścić, bo przecież szedł doskonale przez czas tak długi i dopiero niedawno temu stanął. Widocznie nic mu nie brakuje. Pojęcie to najzupełniej fałszywe. Im dłużej zegarek szedł, tem więcej »mu brakuje«. Jak lokomotywa i w ogóle wszelka maszyna o ruchomych częściach składowych, tak samo i zegarek, od najmniejszego do największego, wymaga regularnego naoliwiania, a gdy tego zaniedbamy, o tyle zużycie części ruchomych będzie większe. — Nie wielu ludzi zdaje sobie dokładnie sprawę, jaką czynność wykonywa każdy zegar w ogólności, szczególnie zaś kieszonkowy. Następujące cyfry niechaj dadzą o tem przybliżone pojęcie: W zwykłym zegarku kotwicznym (tak zw. ankrze) kółko rozpędowe ma 18 milimetrów średnicy. Odbywa ono w ciągu sekundy 5 wahań (tam i z powrotem), przyczem za każdym razem wykonywa półtora obrotu na swej osi. Pomyślmy teraz, że maleńkie to kółeczko, zamiast wahać się w dwie strony, toczy się wciąż po jakiejś drodze. Ponieważ obwód tego kółka wynosi 6 i pół milimetrów, za każdem zatem posunięciem przebywa drogę 84.75 milometrów, w każdej sekundzie 423.75 milometrów czyli licząc okrągło 42 centymetrów. W ciągu minuty kółko to przebiega drogę 25.2 metrów długą, w ciągu godziny zaś 1512 metrów czyli okrągłe półtora kilometra, a w ciągu doby 37 kilometrów.

Jeżeli zegarek taki szedł bezustannie przez lat trzy, co się bardzo często zdarza, to wahadłowe jego kółko przebyło drogę 39420 kilometrów czyli mniej więcej tyle, ile wynosi obwód całej kuli ziemskiej na równiku. A oś tego kółka, które tak olbrzymią drogę przebyło, ma zaledwie dziesiątą część milimetra w średnicy!...

Policzmy teraz, że lokomotywa zwykłego pociągu osobowego, czynna codziennie przez dziesięć godzin i przebiegająca na godzinę 45 kilometrów, musiałaby przez 89 dni być w ruchu, ażeby odbyć tę drogę, jaką w ciągu trzech lat odbywało kółko wahadłowe zegarka kieszonkowego. Ponieważ jednak średnica wielkiego koła u lokomotywy jest niemal sto razy większą, niż średnica owego kółka wahadłowego, a zatem lokomotywa musiałaby być czynną przez 8900 dni, t. j. przeszło 24 lat bez przerwy po 10 godzin dziennie, zanimby oś kół głównych wyko-

nała tę samą liczbę obrotów, jaką wykonywa oś kółka wahadłowego w zegarku w ciągu trzech lat. Zupełnie podobny stósunek, z niewielkiemi zmianami cyfrowemi, zachodzi i u większych zegarków, stojących czy wiszących, wahadłowych, sprężynowych.

Cyfry powyżej przytoczone dowodzą, że wytrzymałość zegarka, jest stósunkowo znacznie większą, niż wytrzymałość lokomotywy kolejowej. Dowodzą one z drugiej strony, że każdy zegarek, chociażby chodził najregularniej, musi być przynajmniej raz na dwa lata dokładnie, przejrzany, oczyszczony i naoliwiony. Dbały właściciel dobrego zegarka powinien więc przynajmniej co dwa lata zgłaszać się do zegarmistrza, uczciwego i godnego zaufania, a może być pewnym, że zegarek jego przez bardzo długie lata będzie chodził najregularniej i nie narazi go nigdy na zawody. Naturalnie, mowa tu jest o dobrych zegarkach. Tani a lichy, chociażby najbardziej zachwalany był przez handlarza, wciąż będzie psuł się i stawał, a częsta naprawa pociągnie za sobą koszt tak wielki, że za tę cenę z pewnością możnaby nabyć zegarek dobry.

ROZUM I SERCE.

Bóg nas opatrzył w rozum i czucia,
Uczucia są serca złotem;
Lecz do metalu tego wykucia
Rozum powinien być młotem.

Gdy młot za miękki, to złotej bryle
Kształtów piękności nie wciśnie;
Gdy wspak uderzy, lub w zbytniej sile,
Złoto się pod nim rozpryśnie.

Gdy próżno kuje w puste kowadło,
Na czczy dźwięk tylko czas traci;
Bo tam, gdzie złoto uczuć przepadło,
Czemże sam rozum zbogaci?

Niech rozum z pracą serce nam kształci!
Z uczuć wykuwa się cnota;
Lecz niechaj rozum serca nie gwałci,
Bo cóż po młocie bez złota?

UNIA LUBELSKA.

Ustęp z „Dziejów Śląska" przez dr. F. Konecznego.

Król Zygmunt August był jedynakiem u swego ojca; nie miał braci; a choć trzykrotnie się żenił, nie miał syna. Był on ostatnim męskim potomkiem jagiellońskiego rodu, a ten brak następcy trapił go niezmiernie i był wielką troską dla wszystkich poddanych. Przez jakiś czas myślano, że następcą będzie Jan Zygmunt Zapolya, syn króla węgierskiego, który przeciw Ferdynandowi dawniej walczył, a siostrzeniec Zygmunta Augusta; ale ten umarł przedwcześnie. Wielu senatorów polskich powzięło myśl, żeby Maksymiliana II-go obwołać następcą; ale pomysł ten odrzuciła szlachta, nie chcąc Niemca; a przytem jakżeż miał Maksymilian do rządów Niemiec, Czech, Węgier, dołączyć jeszcze rządy polski, największego wówczas w Europie państwa? Byłby musiał być chyba tylko malowanym królem. Nie było tedy następcy, a naród, przywykły od dwustu lat do zacnej krwi jagiellońskiej, lękał się nieznanej przyszłości; król nie był jeszcze wiekiem stary, ledwie do pięćdziesiątki dopiero dochodził, ale był bardzo schorowany, zgryziony smutnemi kolejami prywatnego życia, i — nie miał już sił na dłuższe jeszcze cierpienia.

O przyszłości państwa myślał najbardziej sam król. Państwo polskie po-

troiło swoje posiadłości, przywoławszy na tron Władysława Jagiełłę, przez dynastyę swoją pozostawało w unii z Litwą i Rusią; a teraz — dynastya ta miała się skończyć.

Czyż miała się przez to skończyć także unia? Tego nie życzono sobie ani w Polsce właściwej, ani na Litwie; i tu i tam pragniono gorąco, żeby unia trwała wiecznie.

Ale była ta trudność, że Jagiellonowie panowali w Polsce, jako królowie wybrani, na Litwie zaś byli dziedzicznymi panami; różnica ta była obojętną, dopóki Polacy wybierali króla po królu z Jagiellonów. Ale teraz Jagiellonów miało zabraknąć i były tylko Jagiellonki, siostry królewskie, powydawane za mąż na obczyźnie i jedna niezamężna imieniem Anna. Te siostry i ich mężowie mogli rościć sobie pretensye do panowania litewskiego, jako dziedzicznego, a Polska znalazłaby się w trudnem w obec tego położeniu. Żeby temu zapobiedz, zrzekł się tedy Zygmunt August władzy dziedzicznej na Litwie, nadał Litwinom prawo, żeby sobie mogli wolnemi głosami obierać pana, bez względu na familijne stósunki Jagiellonów.

Teraz chodziło jeszcze o zapewnienie, że Litwa nie wybierze sobie pana osobno, ani też Polska osobno. Na sejmie lubelskim w r. 1569 potwierdzono tedy na nowo unię, a polscy i litewscy posłowie ogłosili uroczyście przed całym światem, że »Korona Polska i Wielkie Księstwo litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, któremu wiecznemi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden król będzie rozkazował«. Polacy i Litwini mieli tedy wspólnie obierać króla i wspólne mieć sejmy.

Sławny ten akt z r. 1569 zowie się unią lubelską i jest ostatnim kamieniem w szczytnej a pełnej zasług budowie unii; budowę tę rozpoczęto za pierwszego Jagiellona, a dokończył jej ostatni Jagiellończyk. Kiedy w roku 1386 zabierano się do dzieła, Litwa była pogańską, a na Rusi sama schyzma. Najpierw zaniesiono nowym korony polskiej poddanym światło wiary (a bez rozlewu choćby jednej tylko kropli krwi), potem zaś zrobiono z nich współobywateli i uznano ich za braci. Kiedy Litwa łączyła się z Polską, władza wielkiego księcia była despotyczna, a Litwini niewolnikami, którym bez pozwolenia książęcego nie wolno było nawet córki za mąż wydać, a o prawach politycznych nawet nie wiedzieli, co to znaczy. W tej niewoli można ich było utrzymać dalej i zrobić z Litwy kraj do dostarczania wojska i podatków. Ale to byłoby nie po polsku! nie po chrześciańsku! Więc najpierw dano Litwinom prawo osobistej własności nie zależnej zupełnie od rządu, potem przyjęto ich do herbów szlachty polskiej, pozwolono sprawować godności i urzędy i uznano zasadę, że tylko rodowity Litwin urzędnikiem na Litwie być może; wszystkie zas ciężary litewskie, jak n. p. wojnę z Moskwą, uznano za dotyczące także Polski i broniono litewskiej braci chętnie polską krwią i składano podatki za całość i obronę jej granic. W r. 1432 przyznano także schyzmatykom wszystkie polityczne i obywatelskie prawa; pragnęli Polacy także religijnej unii obok politycznej, ale nie chcąc gwałcić sumień, pozwalali każdemu Rusinowi uznać unię florencką, lub nie uznać, a kto chciał schyzmatykiem pozostać, nic na tem doczeście nie tracił. To też Ruś nastawiała nieraz mężnie piersi przeciw Moskwie, schyzmatykiem był wielki Moskwy pogromca, kniaź Ostrogski. Litwini zaś przyjęli polskie zwyczaje i obyczaje, wyuczyli się języka polskiego i kształcili w nim swoje dzieci, uważając się pod względem politycznym zupełnie tak samo za Polaków, jak Polacy z pod Krakowa lub Poznania. Nie ulegali Polsce, bo nikt od nich uległości nie wymagał; ale służyli Polsce chętnie, przejęli się całą duszą polskiemi ideałami, bo z całej duszy ukochali tę Polskę, za jej braterstwo, za zupełne, szczere, szczodre równouprawnienie. Pokochali też polską mowę, za to, że im się nie narzucała, za to, że Polacy uszanowali mowę litewską i ruską — akta

rządowe pisano tam po rusku, ale Rusin i Litwin sam dobrowolnie rozmawiał po polsku. Za równouprawnienie — miłość. Ostatnim wyrazem tego równouprawnienia jest unia lubelska 1569 r.

RÓŻA SARONU.

(LEGENDA Z CZESKIEGO.)

W północnej stronie Ziemi świętej, w Galilei, tam, gdzie wznoszące się od Jeziora Genezareth wzgórza, dosięgłszy wierzchołkami góry Tabor, skłaniają się znów ku dołowi i w końcu przechodzą w piękną izraelską dolinę, nad brzegami bystrego górskiego potoku, przechadzało się dwóch żydowskich uczonych.

Strumień huczał, oblewając wartkim prądem przybrzeżne oleandry, których pnie i korzenie nurzały się głęboko w wodzie, a ponad nią wznosiły się tylko pełne różowego kwiecia korony.

Deszcz padający przez kilka dni w Galilei, zasilił wszystkie górskie potoki i strumienie; płynęły więc pełną falą, pokrywając rosnący obficie papyrus tak, że zaledwie widać były zarysy jego dziwacznie powykręcanych i pokurczonych liści, nie przypominających w niczem owego pięknego wachlarza, w jaki się roztaczają, kiedy je ogrzeją ogniste promienie słońca.

Ziemia w dolinie już obeschła. Odświeżona ulewami, szybko przybrała się w godową szatę, a wystrzelające ponad trawę malwy, liliowce i mak różnobarwny przeważnie czerwony, nadały całej okolicy ten jej tylko właściwy pozór. Tu i ówdzie mignęło się stado gazel, albo rój dzikich pszczół zleciał z wyżej położonych lasów oliwnych i z brzękiem ukrył się w koronach palmy daktylowej, lub drzew figowych rosnących na dolinie.

Dwaj hebrajczycy żadnej nie zwracali uwagi na te piękności. Nie na to byli uczonymi, aby drogi czas marnować na takie drobnostki, przewertowali też wszystkie księgi, jakie posiadała błogosławiona ziemia Kanaan i każdy z nich nauczał w jednej z wyższych szkół, w jakie obfitowały i któremi zasłynęły ziemie koło Jordanu.

Każdy piastował godność rabina, będąc przedstawicielem innej szkoły. Jeden z nich głosił naukę Faryzeuszów, drugi Sadyceuszów. Świątobliwa rozmowa przybierała czasami pozór gwałtownej, wrzaskliwej sprzeczki, co wobec majestatycznej ciszy przyrody, na stoku świętej góry Tabor, której stopy obmywa bystry potok Saronu, czyniło wrażenie śmieszne. Potok szumi i bieży coraz szybciej, jak gdyby chciał ich zagłuszyć, lub uciec co najrychlej od tej wrzawy.

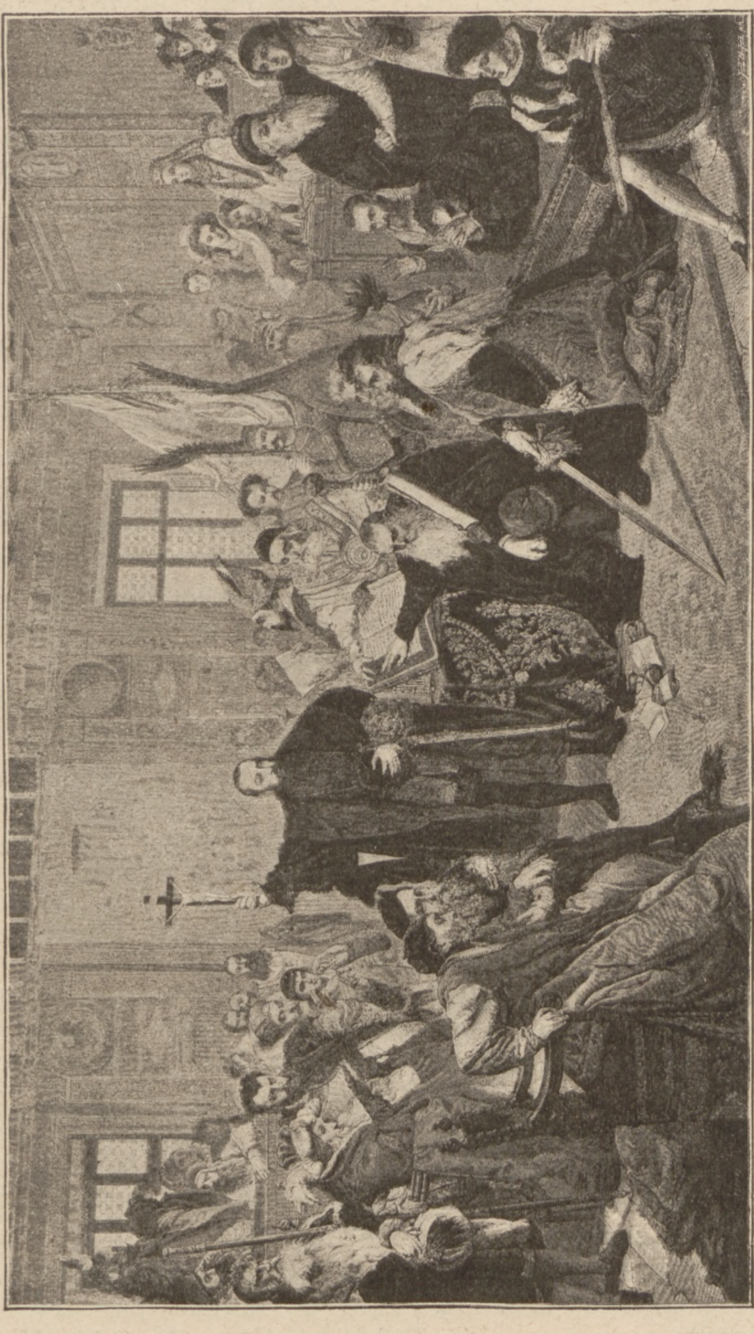
Nagle rozśmiali się uczeni, a widząc, że nikt ich spostrzedz nie może, poklepali się przyjaźnie, poufale po plecach i usiedli na sterczącym tu, nie wiedzieć skąd i dlaczego odłamie skały. Wśród bujnej roślinności utworzył on jak gdyby pustą nieurodzajną wysepkę, o której boki rozbijał się spieniony potok.

Czas jakiś milczeli, niedługo wszakże. Rozmowa przeszła na pole filozofii, co przecież nie wpłynęło uspakająco na wody Saronu, biegły one zdwojonym pędem, jak gdyby pilno im było spocząć w objęciach Jordanu. .

Roztrząsano wszelkie możliwe sprawy, tego i przyszłego życia, z dwóch przeciwnych punktów widzenia, dwóch wrogich obozów, Faryzeusza i Sadyceusza.

Poważna zrazu rozprawa zmieniła się po jakimś czasie w gorącą kłótnię.

Sprzeczka mędrców została nagle przerwana rozdzierającym krzykiem dziecięcym. Bawiąc się muszlami i kamyczkami na brzegu dziecko, sięgnęło po przepływający owoc granatu i wpadło do wody. Spienione fale unosiły bro-



Unia Lubelska (podług obrazu Jana Matejki).

niące się napróżno wątłe ciałko, pogrążając je w swych zimnych objęciach, coraz głębiej i głębiej.

Jednocześnie zerwali się obaj uczeni, aby topiącemu się u nóg ich dziecku podać zbawczą rękę...

Niestety! w ludziach ozwali się mędrcy!...

— Nie, nie i pocóż miałbym je ratować? Kto wie, co czeka to dziecię? jakie boleści i utrapienia mają być jego udziałem? Czyliż nie lepiej dla niego, aby ginęło teraz, dopóki duch jego nie zna nic, krom radości i uśmiechów!

— Ależ to okropne! — krzyknął drugi, składając ręce w pobożnem oburzeniu. — Cóż to za brak miłosierdzia! To wstyd i hańba dla ludzkości! A któż wie, co pięknego, wielkiego, szlachetnego dokonałoby kiedyś to dziecię?

Przyznać trzeba, że przekonawszy się, iż jego słowa tak gnębiąco podziałały na towarzysza, że napróżno szukał on słów na odparcie tego, co posłyszał, zaczął działać. Postąpił aż na sam brzeg strumienia, chwyciwszy się gałęzistej oliwy, która odbiegła swe towarzyszki, rosnące powyżej w zagajniku i stała tu samotna, jak gdyby umyślnie wyrosła na to, aby dać kiedyś podporę uczonemu, — rabi usiłował dosięgnąć biedne dziecię. Szlachetny popęd ratowania nieszczęśliwego topielca uniósł go tak daleko, iż nie uważał, że w przybrzeżnym mule, mokną nietylko nowe jego sandały, ale i nogi powyżej kostek.

Co jednek z początku mogło być łatwem, teraz pokazało się niemożliwem do wykonania. Wystraszone dziecko, bezwiednie uchwyciło się krzewu papyrusu i pomimo kurczowego trzymania się tej wiotkiej podpory, posuwało się po ślizkich wodorostach coraz dalej i dalej. Papyrus wymknął się z drobnej dłoni, a dziecko popłynęło z wodą. Pulchne ramię opadło zmęczone, a po chwili i mała główka zniknęła pod wodą...

Dziecko byłoby utonęło na pewne. Szczęściem zjawił się rybak, czy też dozórca poblizkich winnic, a może tylko biedak jakiś, żywiący się owocem dzikich jabłoni, leśnym miodem i korzonkami i mieszkający w jaskiniach, których w różowym piaskowcu jest tam podostatkiem. Kto on był? mniejsza oto, dość, że nie był to filozof, mędrzec, nie należał do żadnej szkoły, nie był zwolennikiem żadnego systemu.

Zrzuciwszy opończę, bez namysłu, bez zastanowienia, skoczył w wodę, pochwycił dziecię, a trzymając je silnie lewą ręką, prawą walczył ciężko przeciw unoszącemu go prądowi. Zmierzał do miejsca, na którem stali rabini, bo tylko tam brzeg był dogodnym do wyjścia.

Dotarł szczęśliwie i podał dziecko temu, który dotąd trzymał się drzewa oliwnego, lecz kiedy sam chciał stanąć na brzegu, rozmokła ziemia osunęła się pod jego ciężarem. Upadł na znak, a woda, której nikt nie myślał wydzierać tego nowego łupu, poniosła go i po niejakim czasie wyrzuciła nieopodal, na brzeg skaliste martwe już ciało.

Rabini skorzystali ze sposobności, aby i na ten temat wygłosić mnóstwo głębokich myśli.

Nareszcie wraz z dzieckiem zabrali się z powrotem do Nazaret, sprzeczając się po drodze, w jakich zasadach dziecko ma być wychowanem, gdyby się ojciec nie znalazł, czy według szkoły Faryzeusza czy Sadyceusza.

Nagle dziecię poczęło róść w ich oczach i stanął przed nimi mąż z aureolą nad głową, na której kwitnąca cierniowa korona, tak głęboko wbijała swe kolce, że blade czoło spłonęło krwią. Z otwartej rany w boku, również płynęła krew strumieniem. Mędrcy dość byli biegłymi w księgach i świętych proroctwach, aby wiedzieć, kto się przed nimi objawił.

— Czyż nie miałem racyi? — z przechwałką zawołał pierwszy. — Nie lepiejże byłoby dla ciebie Nazareńczyku, abyś był zginął dzisiaj? Zaiste, byłbyś uszedł wszystkim tym bólom, całemu temu ogromowi cierpień i katuszy, jakie cię wedle proroctw czekają, a które ty poświadczasz takiem objawieniem się przed nami.

— O wstrzymaj się. Nie bluźnij! — wołał drugi. Czyż razem z nim, nie byłoby zginęło i to, co te bóle i cierpienia przynieść mają!... Odkupienie.

Chrystus odwrócił się od nich, poszedł i zatrzymał się nad martwem ciałem ubogiego na duchu człowieka, który nie troszcząc się o to, co jego czyn przyniesie, czy będzie to w skutkach szczęściem, lub nie, poszedł za głosem serca.

Z oczów Chrystusa spływała łza na miejsce, pod którem tak niedawno biło jeszcze serce i z piersi Galilejczyka wykwitnął cudny kwiat, zwany »Różą Saronu«.

Rabini powrócili do Nazaret, gdzie pod on czas żyło nieznane jeszcze Boże dzieciątko.

Brzegi potoku, płynącego u stóp góry Tabor obfitowały w mnóstwo kwiatów, które nie wyginęły i wtedy, kiedy urodzajna niegdyś Galileja i ziemia Kanaan zamieniły się w pustynię.

Można je zrywać i dziś jeszcze garściami, a zwłaszcza piękną różę Saronu.

Ze wspomnień o Edwardzie Jelinku.

Poznałem Jelinka na pogrzebie Mickiewicza w Krakowie, lecz zamieniliśmy wówczas zaledwie słów kilka: świeża znajomość z natury rzeczy ustąpić musiała dawniejszym i zażylszym tem więcej, że zjazd Polaków na ową uroczystość był bardzo znaczny a Jelinek dużo między nimi miał znajomych.

Dopiero na wystawie czeskiej w Pradze, gdym z uprzejmości jego korzystał, była pora poznać się lepiej i przypaść sobie wzajemnie tak do serca, że znajomość zamieniła się w serdeczną przyjaźń, którą teraz śmierć Jelinka nielitośnie przerwała.

W Pradze przedstawił mi się Jelinek przedewszystkiem jako Czech, jako gorący patryota czeski, który po wystawie pełen dumy i pewności siebie chodził i chwalił się tem, co Czesi zdziałali.

— Patrzcie, panie, — mówił, — ta cała wystawa wyszła z chłopskiej chałupy czeskiej. Widzicie ją tam za drzewami! To jest kolebka naszego odrodzenia. Dobrze, że ją zaraz u bramy wystawy postawili; niech każdy ją widzi, swój i obcy i niech mu ona przypomina, że nie »należy tracić nadziei, jakoć się kolwiek dzieje.« Jakże to było z nami przed 50 laty. Czechów tak dobrze, jak nie było. Czeski język był pogardzony i zaniedbany, niknął coraz więcej, wypierany przez niemczyznę. Najgorzej było po miastach. W moim domu rodzinnym mówiono także po niemiecku, a gdym razu jednego dziadusiowi na imieniny czeski wierszyk zaczął mówić, dziaduś wypchnął mnie za drzwi oburzony, że śmiem się do niego odzywać w tej wzgardzonej mowie.

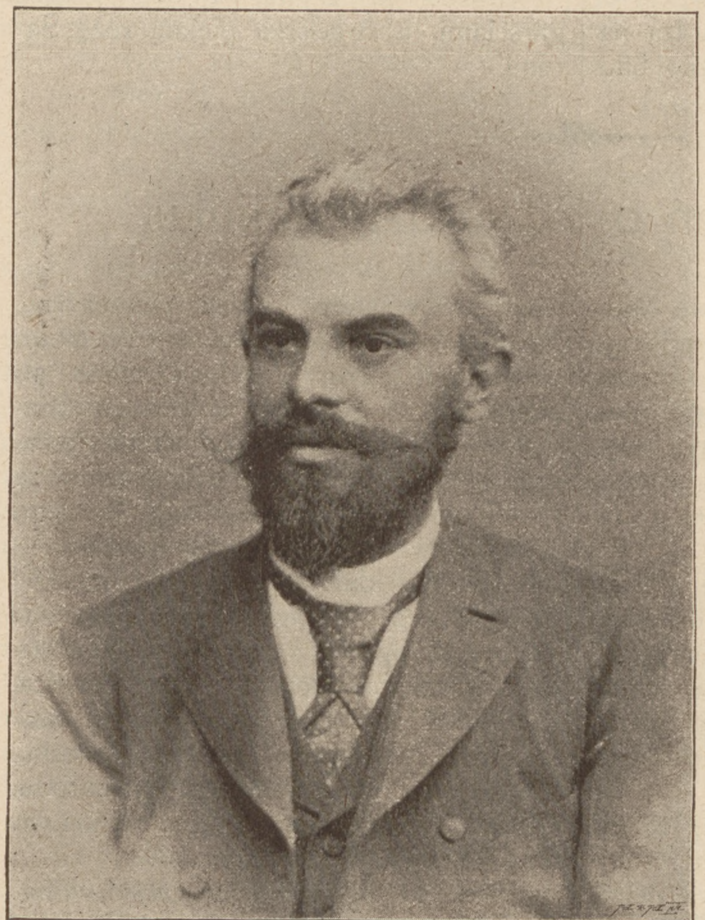
Ale nie dał Bóg zaginąć czeskiej narodowości. Za Jego zrządzeniem zaczęli z chłopskich chat wychodzić ludzie wielkiego ducha i wielkiego serca. Ci obudzili lud z narodowego snu, nauczyli go czytać, pisać, myśleć po czesku. Z ludu poszło odrodzenie całego narodu. Obecna nasza wystawa jest widomym tego obrazem i dowodem.

Jakie to piękne były czasy! Chodziłem jeszcze wówczas do szkół. Jakiś nieznany dotąd duch wstąpił w nas młodych. Zaczęliśmy być Czechami. Uczyliśmy się czeskich wierszy, zbieraliśmy grosze na publiczne sprawy, śpiewaliśmy na przechadzkach czeskie pieśni, niejeden sam próbował napisać i przeczytać wiersz towarzyszom; uczyliśmy się historyi czeskiej w tajemnicy przed nauczycielami Niemcami. Podczas wakacyi każdy w swojej okolicy szerzył miłość do języka czeskiego i narodowości, zachęcano lud do czytania gazet i książek czeskich, do zakładania towarzystw...

Gdy to Jelinek mówił, oczy mu gorzały zapałem, ożywiał się nawet już w tych latach, gdy choroba go gnębić poczynała, przenosząc się myślą w te piękne czasy poczynającego się narodowego odrodzenia swego narodu.*)

W kilka lat potem, gdy mnie Jelinek w Bytomiu odwiedził i przy tem stósunki nasze na G. Ślązku poznał, uznał, że położenie Górnego Ślązka pod względem narodowym nadzwyczajnie jest podobne do dawnego położenia Czech. Panowie się zniemczyli, mieszczaństwo poszło w ślady szlachty, tylko lud pozostał, czem był. Przyjrzawszy się zaś bliżej naszemu ludowi, bardzo go pokochał i ile razy mnie spotkał, zawsze powtarzał:

— Przez lud odrodziły się Czechy, przez lud odrodzi się Ślązk. Tylko szerzcie zdrową oświatę między ludem i kochajcie go całem sercem. Miłość rodzi miłość.



EDWARD JELINEK.

Gorący a czysty patryota czeski, był Jelinek bardzo serdecznym i wiernym przyjacielem Polaków. Dotąd takiego między Czechami nie było i bodaj czy kiedy będzie. Niektórzy nazywali go »spolaczonym Czechem«, lecz niewłaściwe to określenie, albowiem był on Czechem całą duszą i sercem, a tylko sprzyjał Polakom i kochał ich po bratersku.

Wychodził z tego stanowiska, że ludy słowiańskie w ogóle więcej się do siebie zbliżać powinny, a myśl słowiańskiej wspólności częściej i gruntowniej podnosić należy, szukając nie tego, co te ludy dzieli, jak raczej tego, co je skupia. Dla tego też ubolewał, gdy w Austryi między Polakami a Czechami w dziedzinie politycznej ostre przeciwieństwa zachodziły, a w Rosyi naród polski przez Rosyan bywał nękany. Napisał o tych sprawach dużo artykułów i książek. Można prawie powiedzieć, że do nich mniej lub więcej wszystkie dzieła jego się odnoszą.

Nie tylko jednak słowem pisanem, ale też przedewszystkiem żywem składał przez całe życie dowody przyjaźni dla Polaków i nieustannej (że tak powiemy) agitacyi dla swojej myśli zbliżenia tych dwóch narodów jak najwięcej do siebie. W tym celu podróżował bardzo wiele po krajach polskich. Mało jest Polaków, którzyby ziemie polskie tak znali, jak on.

— Dziwię się, — mawiał, — jak niektórzy Polacy mogą jeździć za gra-

*) Później napisał o tem kilka pięknych artykułów dla »Światła«. Kto ciekawy, niech przeczyta Obrazki czeskie, wydane przez »Katolika«. Są to owe artykuły, skupione w książkę.

nicę i zwiedzać obce kraje, nie poznawszy swego. Ja moje Czechy przeszedłem wzdłuż i wszerz, od młodości co rok część pewną zwiedzając. Poznałem też całą Polskę, nawet zapomniane Kaszuby nad morzem bałtyckiem i wydałem o nich osobną książkę. Ten dopiero nauczy się rzeczywiście kochać ojczystą ziemię, kto ją pozna. Mianowicie młodzież polska, w gimnazyach i na akademiach winna korzystać ze swobody swojej i starać się poznać ziemie i swoich rodaków. Także młodzi rzemieślnicy, kupcy, przemysłowcy ruszyć się powinni dalej w ojczysty świat; kto wie, czy niejeden z nich nie znajdzie szczęścia, dobrego pola działania i powodzenia daleko od stron rodzinnych, lecz między braćmi. Przez to zawiązują się stósunki między ludźmi, które ich zbliżają i łączą pod rozmaitym względem.

A poznać ziemie polskie, to przyjemność wielka. Bo czegoż wy Polacy nie macie? Macie morze, bo nad Bałtykiem mieszkają Polacy; macie wspaniałe góry, Tatry; macie litewskie puszcze, ukraińskie stepy, wspaniałe rzeki, urodzajne równiny. A ile rzeczy godnych widzenia, ile pamiątek?

Nie tylko jednak na słowach ograniczał się Jelinek, aby sławić piękność ziemi polskiej; owszem stwierdził to czynem, zwiedzając nieomal co rok jednę z okolic polskich. Polacy przyjmowali go wszędzie z wielką miłością. Byłem świadkiem w roku 1893 rzewnej owacyi, jaką Polacy w Zakopanem mu wyprawili. Nie była ona tak przygotowana, jak rok przedtem, ale tem serdeczniejsza i milsza. Pamiętam, że z każdej części dawnej Polski ktoś był przy tem obecny; dziękowano mu za przyjaźń i sławiono ją wśród dźwięków pieśni czeskiej: »Hde domów mój«. Gdziebądź Jelinek między Polakami się pojawił, wszędzie znajdował gościnne i braterskie przyjęcie. Imię jego było znane wszystkim wykształconym Polakom.

Ten serdeczny przyjaciel narodu polskiego przestał żyć 18-go Marca 1897 roku. Niedługo zdołał działać na ziemi; urodził się roku 1855 a więc zaledwie 42 lat. Choroba nieuleczalna piersi, suchoty, strawiła go szybko Napróżno szukał polepszenia w południowych krajach, nie było ratunku dla niego. Wiedział o tem i gotował się na śmierć, jak na dobrego chrześcianina i dobrego Czecha przystało.

Dnia 23-go Stycznia bieżącego roku napisał ostatni list do mnie, w którym między innemi pisze: »Mój drogi, licho z mojem zdrowiem. Przeszły rok prawie cały chorowałem, byłem we Włoszech, potem w Kroacyi, wszędzie szukając zdrowia, — lecz nic to nie pomogło. Na świecie wiele jest bied, ale największa: brak zdrowia. Kto zdrowy, niech Bogu za to dziękuje każdy dzień!

Sprawy wasze śledzę i Bóg zapłać, że mimo przeciwności dobrze one idą. I u nas tak było. Czem większe prześladowanie, tem bardziej budziła się świadomość ludu.« Pod koniec listu upomina się, ażeby mu przysłać wydawane właśnie przez »Katolika« »Dzieje Ślązka«, bo go zajmowało zawsze wszystko, co tylko do rzeczy i spraw polskich się odnosiło.

Szkoda, że Jelinek tak rychło umarł. Byłby z pewnością jeszcze wiele pięknych książek napisał i przyjaźń między polskim a czeskim narodem umocnił. Jego szlachetne serce, prawy charakter, całe usposobienie szczególnie się do tego nadawało.

Niechaj Pan Bóg nagrodzić raczy duszy jego krótkie, lecz pożyteczne życie i działanie na ziemi, a Polacy pamięć jego niech chowają w wdzięcznem wspomnieniu o zacnym Czechu, który całe życie znajomość narodu polskiego, jego historyi, literatury i sztuki między rodakami szerzył i krzewił. Cześć Edwardowi Jelinkowi! *A. N.*

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Ciąg dalszy.)

Maron usłuchał, jakkolwiek niechętnie, i w kilka chwil potem stał Bicharra-Sussa nad łóżkiem chorej. Chora prosiła go, aby przyrzeczeniom tureckich wodzów nie wierzył. Tak samo w Saidzie tureckie władze i żołnierze nie bronili Maronitów, przeciwnie pracowali nad ich zgubą. Jedynem ocaleniem Maronitów jest mężna obrona i wytrwała walka. Przed tem obawiali się Druzowie, którzy zresztą tylko mężnymi byli, mordując bezbronne kobiety i dzieci.

Zwołajcie zatem chrześciańskich mężów do walecznej obrony. Bicharra-Sussa spoglądał niezdecydowany na ziemię; wreszcie rzekł:

— Dobra kobieto, możecie mieć słuszność. Czy jednak przez to nie rozgniewam tureckich komendantów, którzy za warunek bronienia nas, żądają, abyśmy nie podnosili broni?

— Nie pytajcie o Turka, — odrzekła na to chora, — nie wierzcie mu miły panie; jestem bowiem pewna, że chce on was zgubić.

— A kto nas będzie bronił, jeżeli Druzowie z wielkiemi wojskami nadciągną? — zapytał Bicharra-Sassa.

— Wyślijcie potajemnie posłańca do Beirutu do konsulów Grecyi, Francyi i Anglii — odparła chora — może być, że się oni o pomoc u baszy postarają.

Bicharra-Sassa podziękował wdowie za dobrą radę i zbiegł na dół, aby ją natychmiast wykonać. Tymczasem walka naokoło miasta na dobre zawrzała, i jakkolwiek Druzowie zbyt blisko do domów, z których Maronici strzelali — nie podchodzili, to jednakowoż wielu z nich padało trupem. Komendant turecki nie spełnił swego przyrzeczenia; trzymał on raczej swych żołnierzy w koszarach, pozostawiając chrześcian swemu losowi. Osiem godzin trwała zacięta walka, w której Druzowie nic więcej nie osięgnęli jak tylko to, że im się udało kilka samotnie stojących domów podpalić. Przy nadchodzącej nocy cofnęli się.

Na drugi dzień spodziewali się Maronici nowego szturmu. Jednakowóż zamiast Druzów ukazał się młodszy basza z 500 tureckimi żołnierzami, rzekomo przysłany, aby bronić chrześcian. Zaprosił on wodzów Druzów i Maronitów na naradę. Na naradzie zawarto układ, według którego Druzowie przyrzekli z wojskiem swem odciągnąć, jeżeli chrześcianie złożą broń i wydadzą ją owemu tureckiemu młodszemu baszy. Niestety zanadto łatwowierni Maronici złapali się w tę łapkę i po większej części broń swą Turkowi wydali. Jakkolwiek byli teraz chrześcianie prawie bezbronni, odciągnęli Druzowie szybko z swem wojskiem, ale tylko po to, aby z innemi kupami wojsk oblegać oddalone miasto Zahle.

Dwa tygodnie pozostało w okolicy Deir el Kamar wszystko spokojnie. Jednakowoż z Beirutu przybyło kilku posłańców, którzy przewodnika Maronitów, Bicharra-Sussę, ostrzegli o grożącem niebezpieczeństwie, wzywając go, aby się z chrześcianami udał do Beirutu pod opiekę obcych okrętów. Wiele setek rodzin usłuchało tej rady, cofając się nocą w góry lub do Beirutu. Także i wdowa z swemi dziećmi chętnie by się tam była schroniła; na nieszczęście nie mogła z powodu swej choroby tego uczynić. Wielką pociechę miała matka z dziećmi ztąd, że jej wierny towarzysz i zbawca, Ali, w tych dniach po należytem przygotowaniu się, przyjął chrzest święty.

Na chrzcie otrzymał imiona Józef Marya, a przyjaciel jego Maron, był mu ojcem chrzestnym. Z wielką gorliwością przygotowywał się też następnie do przyjęcia pierwszej komunii świętej.

Nie doznał on w swem życiu nigdy takiego szczęścia, tak że wyraził się do matki Marona, następującemi słowy:

— Przed chrztem św. wierzyłem, teraz jednak uczuwam, że wasza religia jest prawdziwa.

W dniu, w którym przyjął do siebie Zbawiciela i kiedy z swymi przyjaciołmi rozmawiał, jak to teraz nowe chrześciańskie życie z nimi rozpocznie, usłyszano naraz okrzyk trwogi:

— Druzowie idą!

I tak też było w rzeczywistości. Po zburzeniu miasta Zahle, napadło 5 tysięcy tych krwiożerczych pogan niespodziewanie miasto Deir el Kamar, i zanim chrześcianie mieli czas o odporze pomyśleć, wtłoczyli się setkami do domów przedmieścia, plądrując i rabując, co im w ręce wpadło. Dwa tysiące chrześcian uciekło do koszar tureckich, wielu innych razem z Bicharra-Sassą do domu komendanta. Wpuszczono ich wprawdzie tamdotąd; jednakowoż gdy się brama za nimi zamknęła, wydali ich Turcy Druzom a ci ich wszystkich pomordowali.

Maron z swą matką, Judytą i Alim opuścili również dom Bicharra-Sussy. Ponieważ jednak wdowa była jeszcze bardzo słaba, mogli tylko bardzo wolno na drugą stronę miasta uciekać, gdzie basza z Beirutu stał z swem wojskiem posiłkowem. W tym samym kierunku tłoczył się tłum, około 1500 uciekających Maronitów. W sam środek tego tłumu dostała się chora wdowa z swemi dziećmi. Teraz przybyli na koniec miasta przed ogrodzony murem pałac pewnej wysokiej księżny Druzów. Księżna stała właśnie przy oknie z swym synkiem spoglądając na rozpaczające niewiasty i dzieci Maronitów.

Przystroiła się jakoby na jaką uroczystość. Na głowie jej wznosiła się ozdoba, na półtorej stopy wysoki srebrny pozłacany róg, który jest odznaką księżnych Druzów. Z wierzchołka rogu spływała delikatna i przejrzysta zasłona. Twarz jej okalała kosztowna złota ozdoba, oraz błyszczące i dźwięczące monety; korale i perły błyszczały na szyi i rękach, a złotem i srebrem przetykane szaty rzucały blask do koła. Tak przystrojona stała przy oknie księżna, spoglądając na pół dumnie na pół z litością na lamentujący tłum nieszczęśliwych ludzi. Wznosili oni ku niej ręce, prosząc aby się zlitowała i do pałacu swego kazała ich wpuścić.

Gdy księżna jednak dała znak głową, że tego uczynić nie może, natenczas ogarnęła dzika rozpacz kilku maronickich mężów. Dwóch z nich, posiadających jeszcze strzelby, wycelowało do księżny chcąc ją i jej synka położyć trupem. Księżna wydała okrzyk trwogi, starając się równocześnie dziecko swe od okna odepchnąć. Byłoby jednak to wszystko za późno, gdyby Maron nie był wpierw rozpaczliwego zamiaru Maronitów zauważył. Puścił więc matkę, skoczył do celujących i uderzył pięścią w lufy ich strzelb, tak że obydwa strzały chybiły. Teraz jednak znalazł się Maron sam w niebezpieczeństwie, gdyż rozzłoszczeni ludzie chcieli go na miejscu ubić. Bez najmniejszego strachu z iskrzącym wzrokiem stał przed nimi oczekując uderzeń kolbami, które go miały życia pozbawić. W tej chwili stanęła przed nim blada jak śmierć matka, wołając na rozszalałych ludzi:

— Chcecie z morderstwem na sumieniu stanąć przed obliczem Boga? Zabijcie mnie tedy wpierw, jestem jego matką.

To zawstydziło obydwóch, spuścili wzrok w ziemię, następnie odrzucili strzelby, wołając:

— Macie słuszność; jesteśmy i tak bez ratunku zgubieni!

Księżna atoli, która całemu zajściu się przypatrywała, wyrzekła szeptem do siebie:

— Dziwne to doprawdy! ów chrześciański młodzieniec uratował mi życie! Chętnie bym go od śmierci uratowała, gdybym mogła.

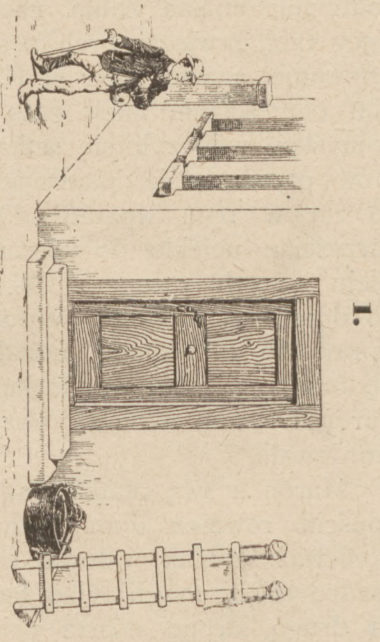
Chciała Marona i matkę jego zawołać i przyjąć w dom swój. Niestety było już zapóźno. Tłum uciekających

ludzi za gęsto ich otoczył, porywając ze sobą za miasto.

Oddalili się już mniej więcej ćwierć mili od miasta i już poczynała nadzieja w ich serca wstępować, że zdołają się schronić w góry i uniknąć pewnej śmierci, gdy im nagle tłum tureckich żołnierzy zastąpił drogę. Tureccy oficerowie zawezwali chrześcian do poddania się i do złożenia wszelkiej broni i dobytku jaki przy sobie mają. Jeżeli to uczynią, natenczas będą ich bronić. Ponieważ chrześcianie byli ze wszech stron otoczeni i żadnej drogi wyjścia przed sobą nie widzieli, poddali się swemu losowi, wykonując żądanie Turków. Zaledwie to jednak uczynili, zawołali Turcy bandę Druzów, wydając im nieszczęśliwych chrześcian. Ci się w okamgnieniu rzucili na swe ofiary, cięli i kłuli szablami, pastwiąc się nad bezbronnymi po swojemu. Był to straszliwy widok.

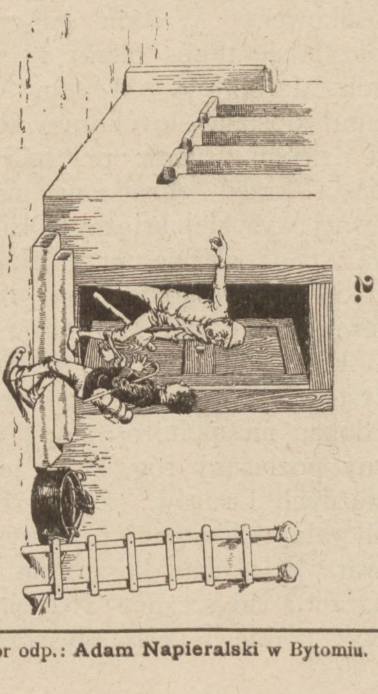
(Ciąg dalszy nastąpi.)

1.



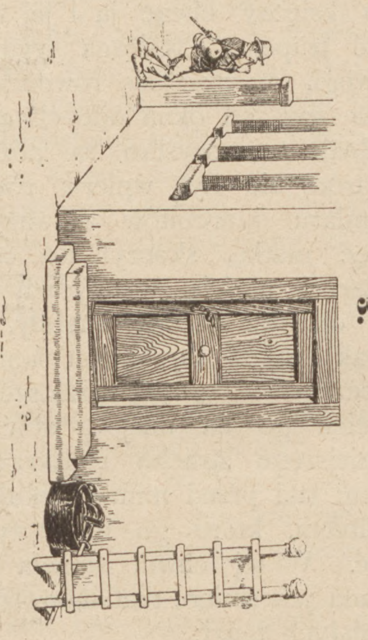
Czeladnik szewski, Jacek, wybrał się na wędrówkę. Przyszedłszy do miasteczka Mysichkiszek, zamierza wejść do pierwszego zaraz domu i prosić pokornie o datek.

2.



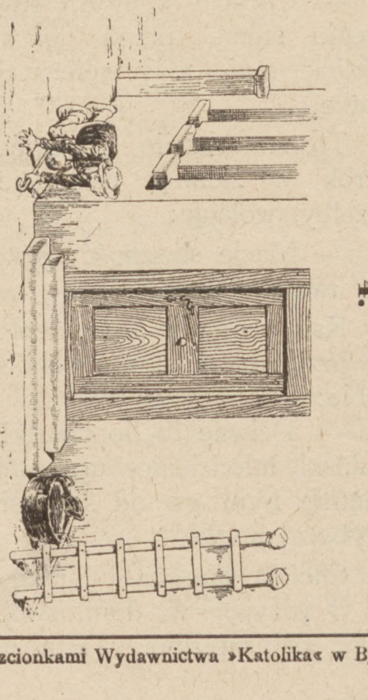
Nie wiedział jednak, że w domu tym mieszka srogi celnik. To też gdy zapukał do drzwi, ofuknął go celnik wskazując na obwieszczenie na słupie, że w Mysichkiszkach żebrać nie wolno.

3.



Jacek czyta obwieszczenie rozmyślając zarazem, w jaki sposób by się mógł zemścić na panu celniku.

4.



Już wymyślił. Oto skrada się pod oknami, aby go celnik nie dojrzał, mając widocznie już gotowy zamiar zemsty.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Ś

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 1-go Kwietnia 1897. Nr. 13.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Morowe powietrze w Polsce i na Rusi.

Kronikarze nasi podają, iż w roku 1186 nastąpiła ciężka na ludzi zaraza epidemiczna, która wielką zrządziła śmiertelność w Polsce i na Rusi. Drugą podobną wiadomość o wielkiej zarazie i śmiertelności rozszerzonej po krajach ruskich i polskich podaje Długosz pod 1288, przypisując przyczynę złego zatruciu wód przez Tatarów. W 10 lat później kroniki polskie zapisały zarazę na bydło, zwierzęta domowe i trzody, tak srogą, że z przyczyny upadku bydła roboczego i koni, w wielu miejscach musiano zaniechać nawet uprawy roli. Pod r. 1348 zapisana jest epidemiczna gorączka z krwiotokiem z ust, w której chorzy umierali 3 go dnia. Gdy powtórnie powróciła ta epidemia w tymże roku, chorzy dostawali dymienic i wrzodów (apostemata et anthraces) i umierali w dniach pięciu. W roku następnym, z przyczyny także gorączki, wiele szlachty i ludu pospolitego wymarło. Takaż zaraza gorączkowa zapisana jest pod r. 1353. W roku 1363 epidemia nazywana morowem powietrzem, wiele miast, wsi i osad polskich pozamieniała na długi czas w pustynie.

W r. 1372 z powodu zarazy epidemicznej zabrakło miejsca na wielu cmentarzach. Rok 1373 pamiętny jest także morową zarazą, tak w Polsce jako i całym świecie. W roku 1413 król Jagiełło chroniąc się przed wybuchłą w Polsce powszechną zarazą, puścił się z Wiślicy w lasy i bory do ziemi Lubelskiej i Chełmskiej. Zaraza ta pustoszyła całą Polskę od św. Jana Chrzciciela do św. Jadwigi. We dwanaście lat później tak samo Jagiełło i Witołd przymuszeni byli uciekać przed powietrzem wśród zimy z miast i zamków do bezludnych borów. Maleńkiego królewicza Władysława (Warneńczyka) wywieziono do zamku chęcińskiego. Pod koniec roku 1430 w zimie »morowe powietrze w całej niemal panowało Polsce, pomimo jednak tej śmiertelnej zarazy przybyła na sejm do Warty wielka liczba prałatów i panów«. W roku 1431 panowała śmiertelna zaraza na konie.

W roku 1446 dotknięty zarazą morową zmarł w Krasnymstawie przejeżdżający książę mazowiecki Kazimierz, znany z zamiłowania swego do rzemiosła kowalskiego. W r. 1451 nawiedziła morowa zaraza Wielkopolskę, nie czyniąc żadnej klęski w Małopolsce. W r. 1452 latem morowe powietrze dotknęło szczególniej Ślązk, Wieluń i Kraków. Król Kazimierz spiesznie udał się na Litwę, nie wiedząc, że zaraza morowa już w całej Litwie panowała tak sroga, że ludzie jadąc, siedząc, śpiąc lub jedząc umierali. Nie dopuszczono zatem królowi wstępu do Wilna, ani do Trok, gdzie najzjadliwsza panowała zaraza. Schował się zatem w lasy i bory grodzieńskie i zabawiał łowami. Zarazę morową przewozili ludzie podróżni, tak w r. 1464 do Piotrkowa przynieśli ją panowie radni z miejsc zapowietrzonych. Do Wilna zawitała przyniesiona z suknią zapowietrzoną z Inflant. W roku 1466 Sędziwoj, wojewoda sieradzki, dotknięty morową zarazą, trzeciego dnia życie zakończył, a Jana, arcybiskupa gnieźnieńskiego, ledwo wyratowano w tej chorobie. Zaraza krążyła po Polsce z przeszkodami, jedne miasta i wsie pomijała, w drugich szerzyła spustoszenia. Uderzając najprzód na miasta, potem na wsie i miasteczka, dotrwała aż do postu wielkiego i później w lecie znowu się powtórzyła. W r. 1475 panowie, którzy odprowadzali królewnę Jadwigę, poślubioną Jerzemu, księciu bawarskiemu, przywieźli z sobą do Polski zarazę gorączkową, która wtedy w Bawaryi i w Niemczech panowała. W późniejszych

czasach szczegóły o morowem powietrzu stają się już tak liczne, że przytaczać ich niepodobna. Morowe powietrze nie było oddzielną chorobą, dziś nieznaną, ale jedną z tych epidemii jak cholera lub dżuma, które mogły tylko w pewnych epokach zmieniać swoje objawy i siłę, rozmaicie w różnych wiekach nazywane.

W wieku 18 ogłaszano drukiem na arkuszach po kraju zalecany przez ludzi doświadczonych: »Przepis potrzebnego postępowania dla wygnębienia zarazy z miejsc, które jej podległe były, aby odnowieniu późniejszemu klęski ile możności zagrodzić.« W przepisie tym z r. 1781, jest mowa o odosobnieniu miejsc, o przygotowaniu medykamentów, o zapobieżeniu, aby zaraza nie odnowiła się na wiosnę, o poddawaniu kwarantannie lub paleniu rzeczy po zmarłych, o posypywaniu ciał wapnem, o strzelaniu psów i kotów z domów zarażonych i potrzebie ich kadzenia, przekurzania, wietrzenia, prania lub palenia. Bielizna używana w chorobie, palona była, a nieużywaną prano. Nadto wszystkiego dotykano się przez rękawice moczone w occie i okadzane siarką. Papiery i książki, które były w używaniu chorych, palono, pieniądze moczono w occie i okadzano dymem siarki, sprzęty myto gorącym ługiem. Ziemię z domów bez podłogi wywożono a nasypywano świeży piasek. Wszystkie kąty w izbach, sieniach i komorach wapnem wybielano. Domy wykadzano siarką, jałowcem i octem lanym na gorący kamień. Z domów, w których pojawiła się choroba, ludzi zdrowych wydalano do lasów, gdzie najmniej przez 6 niedziel zostawać musieli. Wreszcie przepis mówi szczegółowo o organizacyi ratunkowej, raportach felczerów, udziale władz miejscowych i t. d. Pod przepisem podpisany »Antoni Dzieduszycki zesłany dla ochrony do miejsc o zarazę zaskarżonych«. Bardzo dobre wrażenie robi ta troskliwość zwrócona przed półtora wiekiem do »najbiedniejszych«.

Wilk i parobek.

(Powieść gminna).

Onego czasu, kiedy jeszcze Pan Jezus chodził po ziemi i nauczał, zdarzyło się pewnego razu, że wilk szary przyszedł do niego i rzekł:

— Panie! jużem też kosztował różnego rodzaju mięsiwa; wiem jak smakują barany, cielęta, a nawet woły i konie; alem jeszcze nigdy nie jadł mięsa człowieczego. Panie! pozwól mi też tego przysmaczku skosztować.

— Wilku, — odpowiedział Jezus, — sam nie wiesz, czego się napierasz. Wiedz tedy, że ludzkie mięso jest gorzkie i pewny jestem, że ci do gustu wcale nie przypadnie.

— To nic nie szkodzi, — rzekł na to wilk — niech będzie jakie chce, pozwól mi zjeść człowieka, żebym zaspokoił ciekawość.

— Cóż mam z tobą robić, — odpowiedział Jezus — kiedyś się już na swojem usadził, niech i tak będzie; lecz kładę warunek, abyś nie tykał się ani chłopaka ani starca, lecz tylko parobka; pozwalam ci zjeść parobka.

Wilk ucieszony, wychodzi sobie na drogę do boru, siada na ogonie, czekając aż kto nadejdzie. Ujrzał najprzód chłopaka i pyta się chciwie:

— A kto ty jesteś?

— A wszak widzisz, — odpowie tenże — żem chłopak, dopiero na przyszłe gody zostanę średniakiem.

— Idź sobie z Bogiem — wilk na to odpowiedział, — nic mi po tobie.

Po chwili zbliża się starzec. A wilk znowu odzywa się:

— A ktoś ty bracie?

— Dziad stary, — ten odpowie — idę na odpust do tej wsi za borem, ale nie wiem, jak się sam zawlokę.

— Niech was Pan Bóg prowadzi, staruszku, — odpowiedział wilk — ja tu na kogo innego czekam.

Nakoniec zbliża się śmiało i żwawo parobek w kożuchu. Wilk, widząc z pozoru, że to właśnie taki, jakiego oczekuje, ostrząc sobie już zęby na niego, rzecze:

— A ktoś ty człeku?

— A jużci nie chłopak, tylko parobek, mój wilku, ale powiedz mi też dla czegoś tak ciekawy?

— Bo mam w tem ważny interes, — odpowiedział wilk — Pan Jezus pozwolił mi cię zjeść... stój! — i gotuj się na śmierć.

Nie zmięszany wcale takiem przywitaniem parobek, rzecze:

— A nu! kiedy mnie już masz zjeść, pozwólże mi przynajmniej iść na ustęp w te krzaki, i przygotować się do tak dalekiej podróży.

Wilk nie miał nic przeciwko temu; a parobek poszedłszy w krzaki urznął sobie kij tęgi i schował pod kożuch, a powróciwszy do wilka, rzekł:

— Jużem gotów na śmierć; lecz żebym cię przekonał, iż do ciebie naj-

mniejszej niemam urazy, że ci owszem przebaczam, choć mnie masz zjeść, pozwól się pocałować w ogon.

Wilk pyszny, chętnie na to zezwolił; a parobek niby to idąc do całowania, uchwyci wilka za ogon, okręci koło ręki, a potem dostawszy maczugi, jak zacznie kropić, tak, że zbitego i prawie nieżywego zostawił na miejscu.

Ledwo w kilka godzin odzyskawszy przytomność, zwlókł się wilk i wrócił do kniei, a spotkawszy znowu Pana Jezusa, rzekł:

— Oj prawda, Panie, że człowiecze mięso bardzo jest gorzkie; jużem do niego zupełnie stracił apetyt; lepsze dla mnie barany, niżeli te niezwyczajne przysmaki.

Pielęgnowanie wzroku.

Rodzice i wychowawcy święty mają obowiązek nie tylko wychowaniem moralnem, ale także i fizycznem swych dzieci i wychowanków szczerze się zajmować. Z tego powodu w formie krótkiej przypominamy kilka reguł o pielęgnowania wzroku, które nawet dzieci znać powinny.

1. Pisząc we dnie, obierz sobie takie miejsce, ażeby okna były po lewej ręce, ażeby promienie słoneczne nie padały na papier, na którym piszesz.

2. Nie czytaj ani pisz o zmroku; nie wykonuj też żadnych robótek ręcznych o tej porze.

3. Pracując przy lampie, przestrzegaj, ażeby dzwon lampy nie był ciemny, lecz ze szkła mlecznego, ażeby oddalenie od lampy, która powinna być umieszczona po lewej stronie, nie było większe nad pół metra.

4. Praca przy świetle migotliwem, czytanie podczas jazdy i w składzie ciała leżącym, jest szkodliwe.

5. Pisząc, siedź prosto i nie pochylaj głowy naprzód. Kreski cieniowe pisma powinny być prostopadłe do krawędzi stołu.

6. Do pisania używaj atramentu czarnego, a zeszytów o liniach wyraźnych. Staraj się jak najrychlej pisać bez linii i bez podkładki.

7. Czytając, siedź oparty o krzesło lub ławkę i trzymaj książkę obiema rękami przed oczyma, w odległości 35 centymetrów od okna.

8. Jeżeli uczujesz znużenie wzroku, zaprzestań pracy, spocznij i patrz w dół. Po jakiejkolwiek chorobie, oszczędzaj oczu przez kilka tygodni.

9. Jeżeli wpadnie ci do oka pył, lub jaki drobny przedmiot, nie trzyj oka, lecz podnieś górną powiekę i potrzymaj chwilę, póki przedmiot sam nie wypłynie z pod powieki. Jeżeli to się nie stanie, udaj się do lekarza.

10. W razie jakiejkolwiek choroby ocznej lub osłabienia wzroku, zasięgnij porady lekarskiej. Bez polecenia lekarza nie używaj okularów; lekarz może ci tylko poradzić, jakich okularów i w jaki sposób masz używać.

Praktyczne rady.

— **Pierogi drożdżowe z kapustą.** Pół szklanki mleka i łyżkę młodego masła zagotować w kwartowym rondlu i na wrzące wsypać pół funta mąki pszennej (najlepiej krupczatki), mięszając dobrze łyżką, aby się krupki nie porobiły, a gdy dobrze będzie odstawać od rondla, wyłożyć na miskę i rozgarnąć, aby przestygło, poczem wlać 2 luty drożdży, rozrobionych letniem mlekiem, wpuścić 3 żółtka bez ubijania ich poprzednio, troszkę osolić, dosypać drugie pół funta mąki, pozostawiwszy z niej troszkę na podsypkę, wyrobić ciasto dobrze, a gdyby pokazało się za gęste, wlać troszkę mleka. W ogóle ciasto na pierogi musi być dosyć gęste, aby po wyrośnięciu do rąk niebardzo przylegało. Ciasto wyrobione przykryć drugą miską, a najlepiej pokrywą od wazy, postawić w ciepłem miejscu, gdzie w ciągu godziny powinno wyrosnąć. Dla przyśpieszenia rośnięcia można często pokrywkę nagrzewać, ale z uwagą, aby ciasta nie zaparzyć. Przez czas rośnięcia ciasta zasmażyć w rondlu na wolnym ogniu dwie łyżki masła z jedną posiekaną cebulą, uważając, aby cebula ta nie zrumieniła się, lecz zmiękła, poczem włożyć grubo posiekanej kapusty świeżej główkę niewielką i póty ją dusić na wolnym ogniu, aż zmięknie. Kapustę osolić do smaku i wyłożyć na talerz, aby przestygła. Trzeba również ugotować 2 jaja na twardo i dosyć grubo posiekać. Ciasto wyrosłe wyłożyć wszystko na stolnicę, podsypaną mąką, utoczyć gruby wałek, pokrajać na kilkanaście cząstek, z każdej rozpłaszczyć rękoma okrągły placuszek, nałożyć na środku podłużnie i wązko troszkę kapusty, posypać jajkiem, poczem brzegi ciasta zlepić z sobą palcami, i tem zlepieniem położyć na blasze wyłożonej papierem posmarowanym fryturą lub masłem.

Skoro wszystkie pierogi będą zrobione, posmarować je piórkiem, umaczanem w maśle, posypać miałką bułeczką i nic nie dając już rosnąć, w piec ciepły wstawić. Gdy piec dobrze ciepły, zrumienią się i upieką w ciągu 20 minut, trzeba tylko pierogi niezbyt blizko jedne przy drugich układać na blasze, aby się nie pozrastały w piecu.

— **Sklejanie porcelanowych i fajansowych naczyń.** Listek żelatyny pokrajać na drobne kawałki i na spodeczku porcelanowym, zalawszy niewielką ilością octu, postawić na blasze, niech się żelatyna zupełnie rozpuści. Po rozpuszczeniu musi zachować gęstość gumy arabskiej, przygotowanej do lepienia.

Tym rozpuszczonym płynem posmarować brzegi stłuczonego naczynia, przyłożyć do siebie, owiązać sznurkiem i w cieple postawić, aby dobrze zaschła.

Sposób ten klejenia jest bardzo trwały i nawet przy zmaczaniu niełatwo się rozkleja.

Rozmaitości.

* **Dziwna wyspa.** Nie jest rzeczą rzadką zanikanie znanych wysp w morzu skutkiem kataklizmów wulkanicznych i nierzadko pod wpływem tych samych przyczyn nowe lądy pojawiają się na powierzchni oceanów — ale aby jedna i ta sama wyspa raz tonęła w falach morskich, a po pewnym czasie znowu się z nich wyłoniła, to chyba jedyny na świecie wypadek. Taką dziwną wyspą jest Falkon, należący do australskiego archipelagu Tongi. Jest to wysepka naturalnie pochodzenia wulkanicznego. W roku 1881 wyłoniła się po raz pierwszy z bałwanów morskich i odtąd trzy państwa obejmowały i traciły nad nią panowanie po kolei. Traciły poprostu dlatego, bo wyspa ginęła w wodzie. Kiedy ją Anglicy wzięli w posiadanie, zarastała palmami i inną florą tropikalną, a najwyższy jej szczyt wznosił się do 50 m. wysokości. W rok później w 1890 r. pozostała z wyspy tylko mała skała nad wodą i zdawało się, że tak, jak jej sąsiadki Late i Tofna utonie zupełnie w morzu. W roku 1892 pewien okręt francuzki ujrzał znowu wysepkę całą zieloną od świeżych traw wznoszącą się dość wysoko w powietrzu, ale już w Kwietniu 1894 znowu bałwany huczały tam, gdzie niedawno palma cień swój na drobniejsze krzewy rzucała. Dawną wyspę odnaleść można było tylko za pomocą ołowianki spuszczonej na dno morskie. Obecnie się znowu wyspa wzniosła na 55 metrów nad poziom wody i król toński zatknął na niej swój sztandar. Może niedługo wraz z królestwem całem pójdzie na dno na pokarm dla ludojadów.

* **O stosunkach majątkowych sułtana,** a raczej o jego dochodach daje jeden z dzienników londyńskich pewne wiadomości, które aczkolwiek może nie zupełnie prawdopodobne, w każdym razie są bardzo interesujące. W owym artykule czytamy:

Sułtan Abdul Hamid zrzekł się był przed kilku laty dochodu 1 mil. m. z dochodów, jakie pobiera z kasy państwowej. Dochody te wynoszą 12 i pół mil. m. Oprócz tego skarb państwa wypłaca rocznie 6 mil. m. na rzecz synów i cór sułtańskich. Wielki majątek, którym rozporządza dzisiejszy sułtan pochodzi jednak nie z tej listy cywilnej, lecz z dochodów z dóbr, lasów i krajów, należących do korony, zostających pod bezpośrednim zarządem ministra listy cywilnej. Dochody z tego źródła wynoszą 10 mil. m. Majątek jaki uzbierał z tych różnych dochodów wynosi 10 do 12 mil. Mała część tych pieniędzy 1 milion, jest złożone w banku ottomańskim, 3 miliony w zakładzie kredytowym »Lyonnais«. Pięć milionów spoczywało przez dłuższy czas w bankach angielskich. Gdy atoli przed trzema laty stosunki między Anglią i Turcyą nieco się oziębiły, wycofał sułtan z angielskich zakładów pieniądze i złożył je w amerykańskich i niemieckich bankach. Ostatnio miał sułtan udział w kopalniach złota w Afryce i odniósł tam wielkie korzyści. — W ogóle sułtan to finansowiec w całem znaczeniu tego wyrazu, śledzący gorliwie za operacyami giełdowemi.

ZAGADKI.

1.

	b	d	f	g	h
a	a	ą	b	c	d
e	e	ę	f	g	h
i	i	k	l	m	n
o	o	p	r	s	t
u	u	w	d	y	z

dugodobofihiba giboga huhabofiba hibago bogabafibiga.

Każda z powyższych sylab oznacza literę słów, które razem pościągawszy, otrzymamy całe zdanie.

Owa litera, o którą chodzi, tworzy zawsze trójkąt z odnośną sylabą. N. p. do sylaby „du“ należy głoska „w“, gdyż „w“ leży w pionowym kierunku z głoską „d“, „a“ w poziomym kierunku z głoską „u“. Tworzy więc trójkąt. Do sylaby „bo“ należy głoska „o“ it.d. Któż odgadł zatem zdanie?

2.

Całość składa się z czterech części. Pierwsza część jest 500 razy tak wielką, druga część 400 razy, trzecia 40 razy tak wielką, jak ostatnia. Jak się nazywa całkowita liczba?

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11:

1.

Ojciec był trzy razy starszy od syna, gdy liczył $55^1/_2$ roku. Wtedy syn liczył bowiem $18^1/_2$ roku. Syn za trzy lata liczyć będzie 37 lat, ojciec zaś 74 czyli, pierwszy mieć będzie połowę lat ojca.

2.

1, 3, 8 — cel.
5, 6, 13, 14, 15 — Łaski.
7, 6, 10, 11, 14 — wabik.
2, 3, 12, 11, 1 — żenić.
13, 14, 15, 10, 6 — skiba.

Całość: Czesław Lubiński.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Jan Badura z Roździenia, Alexandra i Teresa Gryglewicz z Jutrosina, Paulin Frania z Gogolina, Józef Knopp z Zabrza, Leopold Kafka z Suchej góry.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.